

Anna Szustek

"Mieszkanie się należy. Studium z peerelowskich praktyk społecznych",
Dariusz Jarosz, Warszawa 2010 :
[recenzja]

Echa Przeszłości 14, 179-194

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

POLEMIKI, RECENZJE I OMÓWIENIA

Dariusz Jarosz, *Mieszkanie się należy. Studium z peerelowskich praktyk społecznych*, Warszawa 2010 (Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR), ss. 388.

Wstęp – dlaczego podjęłam się recenzji tej książki, pomimo pewnych wątpliwości, wszak nie specjalizuję się w historii mieszkalnictwa?

Po pierwsze, ponieważ książka Dariusza Jarosza pt. *Mieszkanie się należy ... Studium z peerelowskich praktyk społecznych* jest z zakresu historii społecznej, z pewnym oddechem historii gospodarczej – a to jest dla mnie interesująca tematyka. Stawianie nowych pytań badawczych w obszarze historii społecznej i gospodarczej zmierza do odpowiedzi, na ile ten prawie półwieczny okres Polski Ludowej wykorzystano, a w jakiej mierze został stracony cywilizacyjnie.

Po wtóre, spodziewałam się, że z książki poznam ciekawe procesy dotyczące ruchu spółdzielczego w okresie PRL. Spółdzielnie mieszkaniowe w tym czasie stały się największym segmentem branżowym ruchu kooperatystycznego w Polsce. Zrzeszenia spółdzielcze odgrywały wielką rolę w zakresie usług, handlu, konsumpcji, mieszkalnictwa. Spółdzielnie wytworzyły i jednocześnie były właścicielem ogromnego majątku. Zrzeszały miliony Polaków (na koniec PRL – 15 mln). Ten ruch społeczno-gospodarczy uzyskał szczególną pozycję i przywileje, był ruchem masowym. A z drugiej strony polski ruch spółdzielczy w okresie PRL stracił swoje atrybutywne cechy, do tego stopnia, że przez pewien okres znalazł się poza centralami światowego ruchu kooperatystycznego. Zrzeszał miliony ludzi, a jednocześnie złamano elementarną podmiotowość tych, którzy byli członkami spółdzielni. Przez te prawie pół wieku przeprowadzano zmiany, które tak przekształciły ruch spółdzielczy, że spółdzielnie stały się podmiotami w pewnym zakresie państwowymi lub państwowo-spółdzielczymi. Dlaczego spółdzielniom wyznaczono taką poczesną rolę w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych Polaków po II wojnie światowej? Jakimi instrumentami przekształcano spółdzielczość tradycyjną w spółdzielczość socjalistyczną i jak w praktyce te kooperatywy nowego typu funkcjonowały? Ważne jest, w jakiej mierze działania w spółdzielniach mieszkaniowych miały oddolny, obywatelski charakter, a na ile były inicjowane i kierowane przez

władze centralne i lokalne? Już dla poszukiwania odpowiedzi na te pytania książka zapowiadała się obiecująco. Jak taka kulawa spółdzielczość mogła tyle zdziałać i mieć takie znaczenie? Tu najmocniej zajmujące jest działanie państwa w obszarze ruchu spółdzielczego. Z jednej strony polityka państwa spowodowała skartowacenie spółdzielni pod względem organizacyjno-prawnym, z drugiej jednak państwo prowadziło bardzo protekcyjną politykę wobec spółdzielni. Patrząc z pozycji tych sprzeczności, studium poświęcone (w jakiejś mierze) problematyce spółdzielczej zapowiadało się pasjonująco. Nie mniej ważnym pakietem pytań, na które poszukiwałam odpowiedzi, były relacje pomiędzy ruchem spółdzielczym a innymi ruchami społecznymi, w tym przede wszystkim ruchem zawodowym, organizacjami gospodarczymi, organizacjami młodzieżowymi.

Wreszcie kardynalnym pytaniem stawianym autorowi książki było: w jakiej mierze ta publikacja pozwala nam zrozumieć procesy dotyczące polityki mieszkaniowej, gospodarki substancją mieszkaniową, i tym samym – w jakim stopniu przybliżyła nas do wyważonej oceny procesów społecznych i gospodarczych związanych z zaspokajaniem potrzeb mieszkaniowych Polaków przez pół wieku po wojnie.

Trzecim czynnikiem, który skłaniał mnie do zainteresowania się książką D. Jarosza jest to, że badania nad ruchem spółdzielczym mają bardzo aktualny aspekt, i jest on szczególnie widoczny w obszarze spółdzielczości mieszkaniowej. Zdiagnozowanie stanu spółdzielczości postpeerelowskiej to podstawa do naprawy spółdzielczości w okresie III RP. W czasie ostatnich dwóch dekad połowę wszystkich spółdzielni stanowiły spółdzielnie mieszkaniowe. Dysponują one ogromnym majątkiem i potencjałem, często niezagospodarowanym należycie. Podstawowy mechanizm spółdzielczy, tj. prowadzenie przedsięwzięcia gospodarczego z grosza składkowego członków zrzeszenia, doskonale sprawdza się w budownictwie mieszkaniowym. Lecz w III RP nie stworzono warunków do odrodzenia się tradycyjnej spółdzielczości mieszkaniowej. W tym okresie interesowano się wyłącznie majątkiem tych spółdzielni, zaś spółdzielcami, ich podmiotowością – wcale. W tym samym czasie sektor komercyjny zagospodarował i wykorzystał z zyskiem dla siebie mechanizm spółdzielczy, przy tym nierzadko narażając obywateli na straty. Wszak budowa przez deweloperów mieszkań z grosza składkowego przyszłych właścicieli, to nic innego jak wykorzystanie mechanizmu spółdzielczego przez rynek komercyjny i złupienie tej grupy obywateli. Deweloper powinien budować ze swoich środków i na swoje ryzyko. On od tego ryzyka ma zysk. Tymczasem w okresie III RP państwo stworzyło takie warunki, gdzie grupa obywateli chcących nabyć mieszkanie angażowała swoje środki i tym samym ponosiła ryzyko, a deweloper zabierał zysk od cudzych pieniędzy, sam niczym nie ryzykując. Miał ten zysk tylko dlatego, że sektor deweloperski dostrzegł walory ekonomiczne przedsięwzięć gospodarczych z grosza składkowego, a państwo stworzyło warunki formalno-prawne do tego, żeby sektor komercyjny zawłaszczwał pole spółdzielczości. Tak w III RP budowano rynek kosz-

tem interesów ekonomicznych obywateli. Patrząc z tej perspektywy wszystkie prace, które przybliżają stan wiedzy o spółdzielczości PRL, są bardzo interesujące i pożyteczne społecznie. Pozwalają one zdiagnozować bolączki i patologie spółdzielczości postpeerelowskiej. Ten materiał jest ciągle przydatny do naprawy i odnowy ruchu spółdzielczego. Z błędnego spojrzenia na okres Polski Ludowej wyrosło wiele garbów III RP. Nadto publikacje o spółdzielczości mieszkaniowej w okresie PRL współcześnie są interesujące do analiz porównawczych ze spółdzielczością tego segmentu w okresie III RP.

Czwartym powodem, który zadecydował o zrecenzowaniu przeze mnie studium autorstwa D. Jarosza było to, że książka dotyczy czasów PRL. Publikacje odnoszące się do tego okresu zawsze ciekawia nieco bardziej niż te, które traktują o innym okresie XX stulecia, z wielu powodów. Przede wszystkim przy takich pozycjach patrzy się, czy autor opracowania stawia nowe i zarazem nowatorskie pytania badawcze, czy raczej wpisuje się w jakiś już istniejący szablon badawczy. Z uwagą śledzi się wykorzystane źródła – co świeżego, nieznanego autor wyszperał.

Nowe analizy historyczne, obejmujące powojenne 45-lecie, młode i średnie pokolenie badaczy interesują także z powodów emocjonalnych. To jest w znakomitej większości czas aktywności życiowej i zawodowej pokolenia ich rodziców, dziadków. Stąd bierze się taka swoista powinność, wyrażająca się w potrzebie poznania z perspektywy historycznej dorobku pokolenia swoich przodków i utrwalenia oraz wprowadzenia go do obiegu historycznego. Spojrzenie z tej perspektywy na okres PRL skłania do jakiejś łagodności, poszukiwania pozytywnego dorobku. Wszak nie sposób mówić o swoich rodzicach, dziadkach tylko krytycznie. Wówczas z takiej symbolicznej perspektywy badawczej łatwiej dostrzec pracowitość i ogromny wysiłek tych pokoleń Polaków, którzy odbudowali kraj ze strasznych zniszczeń wojennych i dali dość solidne przyczółki pod budowę nowoczesności.

Konstrukcja i treść

Najprościej można byłoby powiedzieć, że książka jest o tym, jak państwo dawało „rybę”, a nie „wędkę”, a bardziej szczegółowo – jak Polacy w okresie PRL zabiegali o „rybę”. Gdyby chcieć tematykę tej publikacji ująć w konwencji fabularnej – to jest to serial „Dom” (według scenariusz Jerzego Janickiego i Andrzeja Mularczyka, w reżyserii Jana Łomnickiego) oraz „Alternatywy 4” (scenariusz Janusz Płoński i Maciej Rybiński, reżyseria – Stanisław Bareja). Już z tego można wnosić, że tematyka jest bardzo zajmująca.

Praca składa się z sześciu rozdziałów. Trzy pierwsze stanowią wprowadzenie do zasadniczej problematyki i swoisty dla niej korpus. W rozdziale pierwszym krótki bilans II RP daje nie tyle obraz wyjściowy dla okresu Polski Ludowej (bo wojna tu bardzo dużo zmieniła), co pokazuje, jakie nawyki, postawy, oczekiwania mieli Polacy po wojnie w zakresie mieszkalnictwa. Sytuacja w okresie wojny została potraktowana lakonicznie, choć pokazuje

drenaż substancji lokalowej przez okupantów. Ze względu na aktualny wymiar takich spraw jak rugi niemieckie czy mienie żydowskie – przydałoby się może nieco szerzej wprowadzić czytelnika w te zagadnienia.

Ciekawie został skrojony rozdział drugi. Tu można prześledzić koncepcje polityki mieszkaniowej i w zakresie budownictwa w poszczególnych podokresach. Stąd widać charakterystykę oszczędnej i siermiężnej polityki gomułkowskiej i na czym polegał wielki skok cywilizacyjny zaprezentowany przez ekipę Edwarda Gierka. Plany z dekady lat 70. w zakresie rozwoju przemysłu budowlanego i ilości mieszkań mogą budzić uznanie także dziś i żal, że nie zostały zrealizowane.

Rozdział trzeci jest przeznaczony przede wszystkim dla tych czytelników, którzy mają zacięcie inżynierskie. A każdemu innemu pozwoli odróżnić standard mieszkaniowy za Władysława Gomułki i tego z czasów E. Gierka.

Rozdział czwarty ma zasadnicze znaczenie dla rozprawy. Objętościowo góruje nad wszystkimi razem wziętymi – jeden rozdział jest większy niż pięć pozostałych. Lecz ma to uzasadnienie merytoryczne. W tym rozdziale autor zrealizował sedno swojego zamysłu badawczego. Z tego rozdziału czytelnik dowie się wszystkiego o powojennym kwaterunku. Może poznać losy budownictwa pracowniczego przy zakładach pracy oraz rolę rad narodowych w dystrybuowaniu lokali mieszkalnych. Tu można prześledzić zmiany w spółdzielczości mieszkaniowej, od inicjatyw z pierwszych lat po wojnie po spółdzielnie molochy z czasów gierkowskich. Zostały też przedstawione możliwości zakupu mieszkań na zasadach rynkowych.

W rozdziale piątym autor trochę eksperymentuje metodologicznie. Na podstawie oryginalnej bazy źródłowej przedstawił, w jaki sposób ludzie osiągnęli mieszkania w trzech wybranych miastach.

W ostatnim rozdziale poszukiwano odpowiedzi na pytanie, kto i z jakich powodów korzystał z przywilejów w zabiegach o mieszkanie.

W zakresie dróg Polaków do uzyskania mieszkania w latach 1944/45 – 1989 autor dał wykład, o którym można mówić tylko z najwyższym uznaniem, zarówno w zakresie treści, jak i co do formy. Jest tam wielkie bogactwo wiedzy podane w ciekawej i bardzo przystępnej formie.

Tezy pracy i zasadnicze problemy badawcze

Zasadniczym pytaniem badawczym w pracy było: „jakie działania podejmowali Polacy w latach 1944/45 – 1989 dla uzyskania mieszkań”. Autorowi chodziło o „zbadanie różnego rodzaju praktyk społecznych, które towarzyszyły realizacji tego celu” (s. 8-9). Chciał w ten sposób udowodnić tezę, że „brak mieszkań był jednym z najważniejszych (jeżeli nie najważniejszym) problemem życia codziennego”. Jak podkreśla – jego zamysłem badawczym było pokazanie „wpływu trudności lokalowych na masowe procesy społeczne i wybory życiowe Polaków, w tym również na zachowania kontestujące system władzy” (s. 14). W tym zakresie plan badawczy autor zrealizował w bardzo

udany sposób. Czytelnik nie ma wątpliwości, że problemy mieszkaniowe przez pół wieku po wojnie stanowiły podstawową sprawę dla polskich rodzin. Zjawisko miało charakter powszechny.

Metodologia i sprawy warsztatowe

Metodologiczne założenia tego studium zostały przez autora zdefiniowane w dwóch płaszczyznach. Badane procesy zostały przeanalizowane przez pryzmat źródeł wytwarzanych przez instytucje różnego szczebla i z drugiej strony z pozycji spuścizny, którą pozostawili „zwykli ludzie”, uczestnicy tych zdarzeń. Połączenie metody instytucjonalnej z metodami badań „życia codziennego” i narracją mikrohistoryczną – doskonale sprawdziły się w tym studium. Takim narzędziem krzyżowym było ujęcie badanych zjawisk z pozycji centralnej i lokalnej, czyli tak, żeby były oglądane z góry i z dołu jednocześnie.

Na odrębną uwagę zasługuje **narracja**. Integralną częścią pracy stały się obszerne fragmenty źródeł, włączone bezpośrednio do tekstu zasadniczego opracowania. One są wyodrębnione tylko graficznie. Cytaty zostały wybrane z dokumentów autobiograficznych typu listy i pamiętniki oraz dokumentów urzędowych i publicystyki. Tym zabiegiem warsztatowym autor doskonale i w plastyczny sposób zilustrował swój wykład. W ten sposób książka zyskała na lekkości lektury, i jednocześnie zostały pogłębione jej walory merytoryczne. Współcześnie coraz szerzej zyskuje sobie uznanie taki sposób wykładu, gdzie odpowiednio dobrane fragmenty źródeł ilustrują i uzupełniają zasadniczy wywód autora. Dziś już trudno spotkać takie publikacje, gdzie fragmenty źródeł zamieszczano by na końcu książki, jako załączniki. Tak zamieszczone źródła były rzadko czytane, choć takie wydania uznawano za właściwie uporządkowane. Maniera narracyjna, jaka została zastosowana w tej książce jawi się dziś jako nowoczesna, choć trzeba powiedzieć, że z trudem torowała sobie drogę. Gdy Krystyna Kersten zastosowała ten zabieg warsztatowy w *Narodzinach systemu władzy*, to przyjęto to krytycznie, określając nieco pogardliwie mianem „cytologii”. Jedyne co salwowało znaną, nieżyjącą już historyczkę, to że tak przywołane fragmenty źródeł były w znacznej części wówczas dla innych badaczy niedostępne.

Źródła i opracowania

W pracy została wykorzystana szeroka i różnorodna **baza źródłowa**. Są tam źródła archiwalne pochodzące od różnego rodzaju podmiotów państwowych, źródła proveniencji partyjnej, organizacji społecznych i społeczno-gospodarczych. Niemało jest źródeł drukowanych i druków urzędowych. Ale w wykazie wykorzystanych materiałów zabrakło parlamentariów. Zaskakujący jest brak Biblioteki Sejmowej w bibliografii. Jest co prawda zespół *Kancelaria Sejmu 1947–1972* z AAN, ale to w żadnej mierze nie może zastąpić dokumentów ze zbiorów Biblioteki Sejmowej. Druki sejmowe, sprawozdania i stenogramy lubią być pożywnym materiałem. Szczególnie cenne są załącz-

niki, w tym ekspertyzy i inne materiały dołączane np. do projektów ustaw. Brak tych parlamentariów jest zastanawiający tym bardziej, że są one łatwo dostępne, ponieważ są zdigitalizowane. Internet pozwala na kwerendę wygodną i ekonomiczną pod względem czasu i środków pieniężnych. Zapewne niewiele wniosłyby tu materiały z czasów Sejmu np. I kadencji, wszak wówczas parlament był rachityczny. Pracował całkiem niewiele już choćby dlatego, że posiedzenia zwoływano tylko 11 razy przez całą kadencję. Ale w późniejszych latach Sejm był dużo aktywniejszy, a mieszkalnictwo było ważnym problemem społecznym. Więc trudno przypuszczać, iż w parlamencie nie interesowano się tym zupełnie. Z bazy źródłowej można odnieść wrażenie, że autor monografii przyjął założenie, iż politykę w zakresie mieszkalnictwa i budownictwa mieszkaniowego kształtowano zasadniczo w Radzie Ministrów i w poszczególnych ministerstwach oraz w PZPR. Ciekawe byłoby zbadać, czy w istocie Sejm był przez cały okres Polski Ludowej tylko *decorum*.

Wiele jest materiałów z archiwów państwowych. Zagospodarowane zostały źródła z Archiwum Państwowego w Krakowie, Łodzi, Szczecinie, Rzeszowie. W tym zestawie szukałam takich zespołów jak: *Sprawozdania miesięczne wojewody*, z załącznikami. To materiał o kapitalnym znaczeniu dla wszystkiego co działo się w większych miastach, szczególnie po wojnie. Ale to zespoły bardzo obszerne. Można było się spodziewać tego typu materiałów z dawnych wojewódzkich archiwów państwowych, ponieważ w pracy była przywoływana niejednokrotnie Irena Paczyńska z Uniwersytetu Jagiellońskiego, która jest znawcą tego materiału i jego wielkim apologetą.

Ciekawym uzupełnieniem stały się pamiętniki, wspomnienia, reportaże, a nawet beletrystyka. Pewnie dla tej problematyki można byłoby jeszcze dodać Dokumenty Życia Społecznego. Kwerenda w tych zbiorach specjalnych mogłaby okazać się w tym zakresie nadzwyczajnie pasjonująca, i dać materiał nie do znalezienia nigdzie więcej. Ale trzeba też pamiętać, że DŻS to zbiory wymagające czasu i szczęścia badawczego, albo jeszcze lepiej bibliotekarza bardzo dobrze zorientowanego w tych zasobach.

Spośród źródeł należy jeszcze odnotować wykorzystanie wybranych roczników prasy i niektórych czasopism fachowych.

Wykorzystane **opracowania** są bardzo różnorodne, zarówno pod względem tematyki, jak i formy. Doskonale ilustrują interdyscyplinarny charakter tego studium. Przywołano wiele monografii poświęconych mieszkalnictwu, polityce mieszkaniowej, spółdzielczości mieszkaniowej i obok tego przydatne były pozycje należące do klasyki historiografii zarówno w okresie III RP, jak i PRL (Czesław Madajczyk, Czesław Łuczak). Są prace politologiczne, historyczne, socjologiczne, prawnicze, z zakresu demografii, urbanistyki i obok tego wiele opracowań monograficznych dotyczących poszczególnych miast, wybranych grup społecznych. Wykorzystano opracowania z różnego czasu. Zabrakło nieco literatury z zakresu ekonomiki budownictwa. Może przydałoby się nieco pozycji z architektury wnętrza.

Polemika z wybranymi ustaleniami, ocenami i interpretacjami

A. Rola państwa w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych Polaków

W książce wiele uwagi poświęcono roli państwa w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych Polaków. Interesująco została przedstawiona polityka mieszkaniowa i w zakresie budownictwa. Przeanalizowano koncepcje kolejnych ekip partyjno-rządowych i ich realizację. Wnikliwie prześledzone zostały zmiany w poszczególnych podokresach. Szczególnie podkreślono politykę w czasach gomułkowskich i dekadzie gierkowskiej.

Ale dyskusyjne wydają się liczne konstatacje dotyczące aktywności państwa w zakresie mieszkalnictwa, szczególnie w pierwszej powojennej dekadzie, ale także później. W tym zakresie ta książka wpisывałaby się w bardzo modną manierę myślową III RP traktowania państwa (nie tylko w czasie PRL) jako źródła wszelkiego zła. Państwo często jawi się jako szkodnik wobec swoich obywateli, nawet wówczas, gdy podejmuje działalność w interesie tych obywateli. W III RP utarła się taka swoista konwencja, że wszystko to co jest państwowe jest złe, a to co obywatelskie i rynkowe *ad hoc* bardzo pozytywne. Taka totalna krytyka państwa i rozwój myślenia antypaństwowego były szczególnie modne w latach 90. Od kilku lat nieco odchodzi się od tego stylu refleksji. Ale ciągle pozostaje prawie bezkrytyczne podejście i zauroczenie zarówno rynkiem, jak i czynnikiem obywatelskim. Jest to mocno przesadzone i stanowi swoiste *signum temporis* ostatnich dwóch dekad.

Polemiczna wydaje się taka konstatacja, że polityka mieszkaniowa w latach 1944-1956 „zbliżała się (...) najbardziej do charakterystycznego wówczas dla ZSRR systemu administracyjno-dotacyjnego”, gdzie odpłatność za mieszkanie nie odgrywała „istotnej roli”. Dalej autor książki pisze, że „państwo decydowało o lokalizacji, standardzie i rozdziale budowanych mieszkań. Czysze nie miały większego znaczenia. Mieszkanie przybierało charakter świadczenia socjalnego, które mogło być częściowo odpłatne. Podstawą tego systemu było założenie, iż możliwa jest racjonalna gospodarka mieszkaniowa opierająca się na obiektywnym ustaleniu potrzeb, standardów i nakładów przez centralny organ planowania oraz na bezpośrednim realizowaniu preferencji państwa w drodze decyzji jego organów bez korzystania w większej mierze ze środków ludności” (s. 29). Wynikałoby z tego, że zaangażowanie państwa w złagodzenie problemu braku mieszkań zaraz po wojnie wypływało z utopii socjalistycznego planowania, zapatrzenia we wzory radzieckie i omnipotencji państwa w życiu społecznym. W moim rozumieniu to była konieczność wypływająca z położenia Polaków w strasznie zniszczonym kraju. Konkluzji o podobnym charakterze jest wiele, jak choćby przy tzw. dekreście o remontach z 26 października 1945 r. Autor pisze, że ten dekret „przede wszystkim wkraczał (...) bardzo zdecydowanie w sferę własności nieruchomości i dysponowania nimi. Wcielał w życie zasadę, że nieruchomości mieszkalne stanowią dobro powszechne, którego użytkowanie dla celów

ogólnych nie może być uzależnione ani od dobrej woli, ani też możliwości właściciela” (s. 31). (Dodać trzeba, że na podstawie tego dekretu właściciele nieruchomości mieli obowiązek rozbiórki budynku zniszczonego, i naprawy budynku uszkodzonego. W przypadku niestosowania się właściciela do tego, władza budowlana mogła zarządzić rozbiórkę budynku zniszczonego i przejąć uzyskane w ten sposób materiały, a właścicielowi budynku uszkodzonego odebrać prawo naprawy.) W mojej ocenie – w warunkach powojennych ten dekret nie był niczym nadzwyczajnym. Po wojnie w wielu krajach spotykamy działania o podobnym charakterze. To działania specjalne, w normalnych warunkach – może trochę – pachnące bolszewizmem wobec własności tych nieruchomości. Lecz w 1945 r. takie kroki ze strony państwa oceniałbym nie tylko jako dopuszczalne, ale jako konieczne i racjonalne ze społecznego punktu widzenia. W tamtych okolicznościach nie można było dawać pierwszeństwa ochronie własności prywatnej przed potrzebą dachu nad głową tym, którzy wracali po wojennej tułaczce.

W podobnym charakterze utrzymana jest analiza dekretu z 21 grudnia 1945 r. o publicznej gospodarce lokalami i kontroli najmu. Autor zwraca uwagę przede wszystkim na to, że „dekret przewidywał przebudowę mieszkań większych na mniejsze, co nie we wszystkich przypadkach miało sens. Sprawiał, iż właściciele budynków (...) zostali pozbawieni swobody dysponowania mieszkaniami na rzecz władz kwaterunkowych. Zniesiono swobodny najem i wprowadzono zasadę przydziału powierzchni mieszkalnej zależnie od norm kwaterunkowych, utrzymując równocześnie czynsze na niskim poziomie” (s. 30). Młody czytelnik, który nie zna tych zagadnień z innej lektury, z łatwością odnosi wrażenie, że władze państwowe już od pierwszych dni po zakończeniu wojny działały na szkodę obywateli, szczególnie tych, którzy mieli jakiś stan posiadania. A taki, który czyta po wierzchu, szybko może dojść do wniosku, że sytuacja w kraju po zakończeniu działań wojennych niewiele różniła się od okupacji. W latach 1939–1945 okupanci zajmowali mieszkania i inne nieruchomości, a po przejściu frontu na zachód – władze komunistyczne reprezentujące państwo polskie. A przecież różnica jest zasadnicza. W domach zajmowanych w czasie okupacji mieszkała np. rodzina Eriki Steinbach, a po zakończeniu wojny urzędy kwaterunkowe dawały przydziały takim ludziom, jak bohaterowie z serialu „Dom”. Zasadniczym celem przywołanego wyżej dekretu było przysporzenie substancji lokalowej dla ludzi niemających dachu nad głową, nieposiadających żadnych środków i nierzadko wyniszczonych wojną i schorowanych oraz dla tych, którzy byli konieczni dla uruchamiania urzędów, szpitali, szkół i fabryk. Nie sposób było się spodziewać, że właściciele domów, dużych mieszkań będą odstępować dobrowolnie, za marny grosz lub za darmo obcym ludziom pomieszczenia mieszkalne. Tu konieczna była interwencyjna polityka państwa. To było w interesie społecznym. Współcześnie nie zawsze znajduje to zrozumienie.

W tym studium są liczne konstatacje o podobnym charakterze, np. przy przejmowaniu mieszkań, kamienic czynszowych, dokwaterowaniu. W tej

szczególnej działalności państwa na rzecz zapewnienia *locum* w pierwszym okresie po zakończeniu wojny, zabrakło w tym opracowaniu problemu przejmowania przez państwo budynków i mieszkań po właścicielach zmarłych i zaginionych w czasie wojny. Zwracam na to uwagę, ponieważ to jest problem aktualny w III RP, w procesach rewindykacyjnych. W latach 90. pojawiła się fala krytyki państwa polskiego, które w 1945 r. miałoby przejmować pośpiesznie nieruchomości na cele mieszkaniowe tak pośpiesznie, że nierzadko zawierucha wojenna i powojenne trudności nie pozwalały właścicielom ujawnić przed właściwymi organami, że żyją. W Polsce był okres 6 miesięcy, w którym właściele lub ich spadkobiercy mieli czas na swoiste objęcie nieruchomości. Po tym czasie państwo przejmowało mienie, jako nieposiadające właścicieli. W latach 90. te przejęcia były krytykowane i traktowane jako grabieżcze. Zupełnie bezzasadne. Okres półroczny wcale nie był krótkim czasem, w innych państwach dla tego typu przejęć były okresy krótsze – 6 tygodni lub 3 miesiące. Po wojnie w kraju tak zniszczonym jak Polska był taki głód mieszkaniowy, a społeczeństwo wyniszczone biologicznie, że celem pierwszorzędnym było kwaterowanie ludzi znękanych wojną. W polityce państwa przyznanie podmiotowego charakteru potrzebom tamtego społeczeństwa wydaje się oczywiste. Cóż warta byłaby władza państwowa stojąca na straży pustych kamienic, z ludźmi na ulicy. Takie działania musiałyby podjąć każdy, kto w Polsce rządziłby po wojnie, nie tylko komuniści.

W latach 90. Krakowie, w Poznaniu doszło do spektakularnych oszustw mających na celu odzyskanie intratnych nieruchomości od państwa, z powodu rzekomego przejęcia ich w 1945 r. z naruszeniem prawa. Brały w tym udział nie tylko kancelarie prawnicze, ale także instytucje państwowe¹. Przywołałam przykłady nadużyć w III RP w procesach rewindykacyjnych dla zobrazowania oszustw i kradzieży, w państwie o ustabilizowanych strukturach w czasie pokoju. Po wojnie, gdy struktury państwa dopiero odbudowywano i były słabe, tych nadużyć było sporo.

Skala problemów związanych z brakiem mieszkań po II wojnie światowej i dekapitalizacja zasobów materialnych (bardzo szczupłych przed 1939 r.) powodowała konieczność szerokiej aktywności państwa w tym zakresie. W pierwszych 5–10 latach po wojnie nie sposób było oprzeć gospodarkę lokalami mieszkalnymi na zasadach rynkowych. A już szczególnie było to niemożliwe w okresie od zakończenia wojny do 1948–1949 r.

¹ Wśród dokumentów w aktach sprawy dotyczących krakowskich kamienic pojawiały się po trzy akty zgonu wystawione dla jednej osoby, z trzema różnymi datami śmierci, na potrzeby dowodowe w sprawie o odzyskanie kamienicy przez spadkobierców właścicieli, którzy już po zakończonej wojnie mieli nabyć daną nieruchomość. Podczas gdy faktycznie jedyny właściciel nieruchomości zmarł bezpotomnie, w czasie wojny. Tym samym państwo miało nie tylko prawo, ale i obowiązek przejąć taki dom. W latach 90. zdarzały się sytuacje, że w krakowskim sądzie ginęły księgi wieczyste takich przejętych nieruchomości, gdy pojawiał się przedstawiciel ministra finansów, mający na celu podjęcie działań zabezpieczających interesy państwa przed bezzasadnymi rewindykacjami.

Czy w późniejszym czasie, po 1956 r., potrzebna była aktywność państwa w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych ludności? Z całą pewnością tak, i nie dlatego, że niejako wynikało to z modelu gospodarki państwowej. Skala potrzeb mieszkaniowych, problemy społeczne wynikające z braku mieszkań i znacznie rozwoju mieszkalnictwa dla gospodarki – wymuszały aktywną politykę państwa w tym zakresie. Albo inaczej ujmując, bez względu na to, jaki byłby ustrój i kto w tym czasie rządziłby w Polsce, nie mógłby omijać tego problemu. Autor książki pokazał, z jakim rozmachem w poszczególnych pięcioletkach planowano rozładować problemy mieszkalnictwa. Dzisiejsze koncepcje i aktywność państwa (przy całym zróżnicowaniu instrumentów) na tle choćby lat 60. jawią się wyjątkowo enigmatycznie i słabo. Porównanie nawet środkowego okresu PRL (nie mówiąc o dekadzie gierkowskiej czy pierwszych latach 80.) z III RP wypada na niekorzyść III RP także w liczbach. W schyłkowych czasach gomułkowskich oddawano do użytku ponad 180 tysięcy, a po 1989 r. w ostatnich dwóch dekadach jest to rząd wielkości od 60 tysięcy do 90 tysięcy mieszkań rocznie. Oczywiście ktoś powie, dzisiejsze standardy mieszkaniowe nie sposób porównywać z małym metrażem i ślepą kuchnią z czasów gomułkowskich. Ale też nie można porównywać zasobów materialnych, aspiracji cywilizacyjnych ludności i potencjału państwa – ćwierć wieku po wojnie i 65 lat po wojnie. Inne możliwości dają technologie stosowane współcześnie w budownictwie, niż te, których używano w latach 60. Budowa takiej ilości mieszkań rocznie w okresie Polski Ludowej była możliwa tylko dzięki tak daleko idącemu zaangażowaniu państwa. Jest oddzielną sprawą, czy współcześnie taki zakres aktywności państwa akceptujemy.

B. Rola rynku w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych Polaków

Druga sprawa, z którą chciałabym polemizować to rola mechanizmów rynkowych w zaspokajaniu potrzeb mieszkaniowych Polaków w okresie PRL. Można odnieść wrażenie, że w ocenie autora podstawowym błędem było odejście od stworzenia rynku mieszkaniowego, a w każdym bądź razie omijanie i lekceważenie zasad rachunku ekonomicznego w obrocie mieszkaniami przyniosło wiele szkód i patologii. Nawet pierwsza część tytułu daje czytelnikowi sugestię, że rzecz jest o roszczeniowych zachowaniach Polaków w sprawach mieszkaniowych. W jednym z rozdziałów autor napisał: „z punktu widzenia głównego tematu prezentowanej pracy najważniejsza konkluzja poczynionych wyżej uwag jest następująca: mimo dokonywanych retuszów i modyfikacji mieszkanie po wojnie z reguły *dostawato się*; przydział był efektem działania procedur biurokratycznych. Elementy rynkowe w tym systemie, które pojawiły się po 1956 r. (głównie za sprawę rozwoju spółdzielni mieszkaniowych) nie kwestionowały jego istoty. Nawet jeżeli zainteresowani podejmowali wysiłek budowy jednorodzinного domu, to musiał on spełniać standardy ustalone przez państwowych decydentów” (s. 73–74). Taka tęsknota za rynkiem mieszkaniowym pojawia się w tym studium niejednokrotnie.

W okresie III RP przyjęło się patrzeć na wiele procesów, reform z czasów PRL przez pryzmat rynku, i podkreślać słabości z pozycji zasad gospodarki rynkowej. W tej manierze myślowej powstało wiele zupełnie fałszywych teorii i interpretacji, jak choćby w sprawie reformy rolnej z 1944 r., nacjonalizacji przemysłu. Powszechnie się wytyka reformie rolnej, że komuniści z pobudek politycznych (żeby mieć na wsi zaplecze) i ideologicznych doprowadzili do rozdrobnienia rolnictwa. Przeciwstawia się tu koncepcje reformy przewidywanej większe gospodarstwa, lansowanej przez PSL i Stanisława Mikołajczyka. A wystarczy rozejrzeć się po literaturze przedmiotu trochę szerzej, np. poszperać po przedwojennych pracach Władysława Grabskiego czy Franciszka Bujaka (uznawanego za ojca historii gospodarczej), żeby dostrzec wielką apologię drobnych gospodarstw. W SGGW, w Instytucie w Puławach prowadzone były rozległe i gruntowane studia z zakresu ekonomiki rolnictwa, z których wynikało, że drobne gospodarstwa rolne produkują taniej i lepiej niż duże². I to nie były tylko studia gabinetowe, a teorie znane w ruchu ludowym, o czym pisze Kazimierz Przybysz w świeżo wydanej książce³. Trudno jest powiedzieć, czy ci co przygotowali reformę rolną w 1944 r. czytali te przedwojenne prace, ale one przydałyby się tym, co współcześnie piszą na ten temat. Podobnie jest z mitem o tym, że reformę rolną realizowano bez odszkodowania, a tylko za symboliczną rekompensatą, ponieważ przeprowadzali ją komuniści. W Polsce po wojnie ktokolwiek by rządził, musiał przeprowadzić reformę rolną i to bez odszkodowania – nie z przesłanek ideologicznych, lecz z konieczności ekonomicznych. Wówczas nie można było myśleć o innej reformie rolnej. Polska wieś nie miała kapitału, żeby przeprowadzić szersze upowszechnienie ziemi w drodze zakupu. Tak było już przed wojną. W czasie okupacji dekapitalizacja rolnictwa pogłębiła się dramatycznie. I z tych powodów inna reforma praktycznie nie wchodziła w grę.

Nacjonalizacja przemysłu rysuje się podobnie. Jak można było robić wielkie uprzemysłowienie kraju, przy takim braku kapitału jak w Polsce. Skąd wziąć fundusze na uprzemysłowienie – to było zasadnicze pytanie gospodarcze od lat 20. Od 1926 r. Eugeniusz Kwiatkowski uważał, że najpierw trzeba unowocześnić rolnictwo, które będzie kołem zamachowych dla przemysłu i jednocześnie źródłem kapitału dla industrializacji. Przed wojną w Polsce było trzech kapitalistów posiadających kapitał na poziomie europejskim,

² F. Bujak, *Organizacja rachunkowości w małych gospodarstwach i dotychczasowe nasze doświadczenia w tym kierunku*, [w:] „Rolnictwo” 1929, nr z grudnia, s. 27–64; E. Laur, *Ekonomia rolnicza*, przełożył z niemieckiego i do potrzeb rolników polskich dostosował dr Witold Staniewicz, Lwów 1928 i recenzja S. Rozciszewskiego [w:] „Rolnictwo” 1928, nr z października; J. Curzystek, *Badania nad rentownością gospodarstw włościańskich w r. 1926/7. Sprawozdanie Wydziału Ekonomiki Gospodarstw Wiejskich z przedmową prof. F. Bujaka*, Puławy 1928 i rec. Wł. Grabskiego, [w:] „Rolnictwo” 1929, nr z marca, s. 181–187; W. Stankiewicz, J. Curzystek, *Wyniki badań nad opłacalnością drobnych gospodarstw rolnych w 1930/31 i 1932/33*, [w:] „Rolnictwo” 1932, nr z listopada, s. 18–43; Wł. Grabski, *Mniejsze czy większe gospodarstwa włościańskie przy reformie rolnej. Studia nad reformą rolną*, [w:] „Rolnictwo” 1937, z. 1, s. 5–20.

³ K. Przybysz, *W konspiracji. Polski ruch ludowy 1939–1945*, Warszawa 2010, s. 239–240.

a gdyby spuścić poprzeczkę, to takiej słabizny kapitalistycznej na europejskim poziomie byłoby około 400 posiadaczy⁴. A przecież wojna i okupacja dobrze te fortuny przetrzebiła. Brak kapitału jest kardynalnym problemem polskiej gospodarki w całym XX w., niemal we wszystkich działach. Stąd brały się w okresie PRL takie pomysły gospodarcze, jak przywileje dla firm polonijnych. Pod koniec lat 70. one miały na celu przyciągnąć kapitał Polaków, którzy dorobili się zagranicą.

Przywołane zostały te dwa przykłady, żeby podkreślić jak były zdekapitalizowane podstawowe działy gospodarki. Na tym tle dobrze jest postawić pytanie, skąd Polacy mogli mieć pieniądze na mieszkania, domy? W mieszkalnictwie także były potrzebne inwestycje na miarę skoku cywilizacyjnego. I nie chodzi tu tylko o ten pierwszy okres powojenny, gdzie była wielka bieda – i to nie tylko w Polsce⁵. W Polsce rynek w mieszkalnictwie był nie do zastosowania z powodu braku kapitału. Dostrzegano te sprawy, ale nie były one łatwe do rozwiązania. Przy ambitnych planach mieszkaniowych za E. Gierka, pojawiały się takie koncepcje jak Narodowa Pożyczka Rozwoju Budownictwa Mieszkaniowego w 1977 r. Pewne enklawy rynku pokazały się w latach 70. i 80., gdy ludzie zaczęli nieco zarabkować wyjeżdżając z kraju, np. na budowach w Iraku. Jak podkreśla autor książki – 10% wybudowanych mieszkań przeznaczano na rynek do sprzedaży za pieniądze. Reszty nie byłoby komu kupić.

Współcześnie wokół mechanizmów rynkowych narosły mity. Łatwo przyjmuje się, że rynek uzdrowiłby złe praktyki społeczne np. w mieszkalnictwie. Bardziej szczegółowe pytania, na ile można było wprowadzać w kolejnych dekadach PRL jakieś mechanizmy rynkowe w mieszkalnictwie, mogą dać nowe prace z zakresu ekonomiki budownictwa. Tu też należałoby poszukiwać odpowiedzi w sprawach dotyczących tego, na ile konieczne było zaangażowania państwa w materialnym wsparciu dążeń Polaków do upragnionego mieszkania. Z tej perspektywy mogłoby się okazać, że ten centralizm państwowy w budownictwie, pompowanie środków finansowych w inwestycje mieszkaniowe to nie tyle wynik pryncypiów ustrojowych, co jedyne możliwe drogi do przysporzenia substancji mieszkaniowej w tak głęboko zdekapitalizowanej gospodarce. Ciekawe, ile zbudowano by mieszkań w okresie PRL

⁴ W literaturze przedmiotu podawane są różne dane dotyczące potentatów finansowych w II RP, w tym porównania ich fortun na tle europejskim. Do oligarchii finansowej zalicza się od około 3800 do 215 osób, czy nawet 92 (jak podaje Z. Landau). Przyjmuje się, że na poziomie europejskim było od kilkudziesięciu do siedmiu, a może nawet trzech właścicieli kapitału. Rozrzut tych danych jest spowodowany metodologią liczenia i oceny wielkości majątku. Zob. Z. Landau, *Oligarchia finansowa*, [w:] Z. Landau, J. Tomaszewski, *Druga Rzeczpospolita. Gospodarka – społeczeństwo – miejsce w świecie*, Warszawa 1977, s. 209; J. Kofman, *Lewiatan a podstawowe zagadnienia ekonomiczno-społeczne Drugiej Rzeczypospolitej. Z dziejów ideologii kół wielkoprzemysłowych w Polsce*, Warszawa 1986, s. 9–10.

⁵ Po II wojnie światowej nawet mocarstwo kolonialne, takie jak Wielka Brytania, miało do połowy lat 50. kartki na podstawowe dobra konsumpcyjne. Oczywiście tam nie można mówić o dekapitalizacji gospodarki czy nawet zasobów społeczeństwa.

przy rynkowych zasadach gospodarki i zastosowaniu takiej polityki mieszkaniowej, jaką dotychczas prowadzono w III RP?

C. O istocie spółdzielczości mieszkaniowej w PRL i ocena tej spółdzielczości

W okresie PRL spółdzielnie to najważniejsze podmioty realizujące politykę mieszkaniową państwa. Wyraźnie ta tendencja ukształtowała się po 1956 r. Jak podkreśla autor książki – po 1956 r. „podstawową formą zaspokajania potrzeb mieszkaniowych Polaków staną się spółdzielnie mieszkaniowe” (s. 51), a „w latach 1966–1970 dominującą formą budownictwa mieszkaniowego stanie się budownictwo spółdzielcze” (s. 53). Rola spółdzielczości wzrosła w dwóch ostatnich dekadach PRL. Dalej autor wskazuje, że „innym elementem owej polityki, który wyróżniał lata siedemdziesiąte na tle innych okresów Polski Ludowej, była hegemonia spółdzielczości jako formy zaspokajania potrzeb mieszkaniowych. (...) Spółdzielczość stała się jedynym – poza mieszkaniem funkcyjnymi – inwestorem uspołecznionego budownictwa mieszkaniowego” (s. 67). Wówczas spółdzielnie to były przedsiębiorstwa na szczególnych zasadach, które produkowały mieszkania dla wojewody (ok. 20%), dla zakładów pracy (ok. 20%), do sprzedaży komercyjnej (ok. 10%) i na końcu dla spółdzielców (ok. połowa wszystkiego). W zasadzie to były spółdzielnie już tylko z nazwy. Wszak status członków spółdzielni był w dużej mierze pozorny.

Wcześniej została podkreślona konieczność aktywnej polityki państwa w zakresie mieszkalnictwa. Inną sprawą były formy tego zaangażowania państwa w budownictwie w okresie PRL. Dlaczego państwo realizowało tę politykę przez spółdzielnie? Albo inaczej ujmując, czy spółdzielczość mieszkaniowa musiała stać się instrumentem realizacji tej aktywnej roli państwa i zarazem ofiarą? Czy nie można było wykreować nowych podmiotów do wykonywania zadań państwa w zakresie mieszkalnictwa? I obok tego stworzyć warunki dla rozwoju spółdzielczości mieszkaniowej na tradycyjnych zasadach. Na spółdzielczość mieszkaniową państwo nakładało zadania z zakresu polityki mieszkaniowej, ale z drugiej strony te spółdzielnie dostały niemało przywilejów, preferencji od państwa. Czy obok spółdzielni takich państwowych – socjalistycznych, mogły funkcjonować spółdzielnie mieszkaniowe prowadzone wedle tradycyjnych zasad? Czy np. na kongresach spółdzielczych ruch kooperatystyczny podjął obronę tradycyjnych zasad spółdzielczych, czy też spółdzielcom odpowiadała rola wyznaczona przez politykę rządową, swoistego pupila władzy. Wiemy na przykładzie spółdzielczości rolniczej – tej socjalistycznej, że W. Gomułka nie był do niej sztywno przywiązany i po 1956 r. pozwolił na rozwiązanie prawie 9 tys. (z 10 tys. istniejących) spółdzielni rolniczych z powodów ekonomicznych i nieco społecznych. W książce wspomniano o późniejszych, oddolnych inicjatywach odrodzenia spółdzielczości przez ruch małych spółdzielni. Ale w sumie lakonicznie została potraktowana dyskusja nad modelem spółdzielczości przez ten prawie półwieczny okres.

Oczywiście rzecz całą można byłoby skwitować, że książka nie jest o spółdzielczości, lecz o drogach Polaków do mieszkania. Lecz spółdzielczość mieszkaniowa stanowi tu kardynalny problem. I idzie o to, że przy takim potraktowaniu tych spraw czytelnik, o ile nie posiada szerszej wiedzy o spółdzielczości w Polsce Ludowej, nie rozumie procesów, o których autor pisze w książce. Przez cały analizowany okres autor używa pojęcia *spółdzielnie*, *spółdzielczość*. A przecież zupełnie czym innym była spółdzielnia mieszkaniowa w latach 40., a zgoła czym innym był podmiot o nazwie *spółdzielnia mieszkaniowa* w latach 80.

W tym studium poruszone zostały sprawy samorządu spółdzielczego, samodzielności gospodarczej spółdzielni, autonomii zrzeszeń spółdzielczych, dobrowolności zrzeszania się. Sporo uwagi poświęcono rodzajom spółdzielni. Wskazane zostały niektóre sposoby i formy upaństwowienia ruchu kooperatystycznego. Ale w sumie to gdzieś umyka odpowiedź na pytanie, na czym polegała spółdzielczość socjalistyczna, a jakie elementy tradycyjnej spółdzielczości ocalały. Spółdzielnie nie tylko budowały i dzieliły lokale, ale także gospodarowały substancją mieszkaniową. Jak one funkcjonowały jako zrzeszenia, bo od tego w jakiejś mierze zależała podmiotowość spółdzielców. W tym może udałoby się zobaczyć, jak doszło do tego, że spółdzielnie stały się swoistą własnością zarządów, a ich walne zgromadzenia sprowadzono do roli *dekorum*. Współcześnie głosowanie pośrednie przez przedstawicieli uznaje się za instrument sprawnego funkcjonowania wielkich spółdzielni. Dziś już nie dostrzega się, że to jest złamanie kardynalnej zasady w ruchu kooperatystycznym. Jeden członek ma jeden głos i bezpośredni udział każdego członka w walnym zgromadzeniu – to jest ponadczasowa zasada w ruchu spółdzielczym i ona definiuje spółdzielnię jako zrzeszenie. Modyfikację w głosowaniu wprowadzono w okresie Polski Ludowej – wydawało się – z racjonalnych przesłanek. Głosowanie pośrednie na walnym zgromadzeniu to jest jedna z form odpodmiotowienia członków spółdzielni. Spółdzielca nie biorący bezpośrednio udziału w walnym zgromadzeniu traci kontakt i zainteresowanie sprawami, które dotyczą jego majątku. Autor pokazał spółdzielnie w wielu aspektach, ale bardziej jako przedsiębiorstwo niż jako organizację społeczno-gospodarczą, i wyraźnie koncentruje się na sprawach dotyczących dystrybucji mieszkań.

W zasadzie to nie bardzo dowiadujemy się dlaczego spółdzielnie wybrano jako te podmioty, które miały realizować gros polityki mieszkaniowej, jakie przesłanki o tym zadecydowały i jak to argumentowano. W tym opracowaniu przyjmuje się to niejako oczywiste, traktując spółdzielnie jako tzw. własność społeczną, wówczas uważaną za lepszą od prywatnej czy „indywidualnej”. A to już jest obraz spółdzielczości wykreowany w PRL. W czasie wojny i zaraz po jej zakończeniu spółdzielczość budziła mieszane odczucia społeczne. Była symbolem gospodarności, oszczędności, zapobiegliwości materialnej i nowoczesności. Ale obok tego spółdzielnie postrzegano jako chciwe (miały dobre wyniki ekonomiczne) i pod koniec wojny spółdzielcom działającym pod okupacją przypięto łatkę kolaborantów.

Powszechnie przyjmuje się, że spółdzielczość w Polsce po II wojnie światowej zdeformowano z pobudek ideowych, związanych z komunistyczną przebudową życia społeczno-gospodarczego. Wzorem miałyby tu być pseudospółdzielnie radzieckie. Nie jest to prawdziwe. Wszak początek przemian w spółdzielczości dała zwyczajna chciwość, o charakterze porównywalnym z procesem w spółkach Skarbu Państwa w III RP. W czasie II wojny światowej Niemcy zostawili około 3,5 tysiąca spółdzielni rolniczych i konsumencyjnych. Prowadzili je Polacy, ale służyły one niemieckiej machinie aprowizacyjnej. Po wojnie powstał problem – jak traktować tych, którzy pracowali w tych spółdzielniach w czasie okupacji. Czy to była kolaboracja? Porównywano te spółdzielnie do działalności granatowej policji. Ale nie było w tym przedmiocie jednoznacznych ocen. Wszak równocześnie te spółdzielnie często dawały schronienie ludziom z ruchu oporu, ponieważ Niemcy prawie ich nie kontrolowali, traktując je jak swoje. Po wojnie spółdzielczość odrodziła się w błyskawicznym tempie. Do końca 1945 r. było ponad 8 tysięcy zrzeszeń. One bardzo dobrze prosperowały. Praca w spółdzielni, w tym szczególnie udział np. w zarządzie, był niemałą intratą. Dla nowej władzy ważne było, żeby te posady mieć dla swoich ludzi. W tradycyjnej spółdzielni nie sposób było narzucać z zewnątrz decyzje czy władze statutowe. Tak więc trzeba było znaleźć sposób pozwalający na naruszenie autonomii spółdzielni. Wówczas zostało rzucone hasło: oczyścić spółdzielnie z kolaborantów. Uznano, że do tego celu konieczny jest wpływ państwa na spółdzielnie. Gdy w połowie 1945 r. w Częstochowie na naradzie przedstawicieli rządu, partii politycznych i spółdzielni postawiono pytanie, czy państwo powinno mieć wpływ na spółdzielnie, to wszyscy opowiedzieli się za tym. Jedynie Władysław Kiernik był obrońcą tradycyjnej spółdzielczości. Ta narada dała początek socjalistycznym przeobrażeniom w ruchu spółdzielczym polegającym na upaństwowieniu kooperatyw.

Materialny dorobek spółdzielni mieszkaniowych na koniec PRL ujęty w liczbach jest imponujący. Zaś funkcjonowanie spółdzielni jako zrzeszeń obywatelskich trudno jest ocenić pozytywnie. One nie zdołały zaspokoić wszystkich potrzeb w tym zakresie, ale czy spółdzielczość taka jaką wykreowano w PRL mogła rozwiązać przynajmniej w zasadniczym stopniu głód mieszkań w Polsce? Z perspektywy 20 lat po PRL odpowiedź na tak postawione pytanie nie jest już tylko okazją do snucia przypuszczeń i gdybania. Daje możliwość pewnej analizy porównawczej. Czy przez dwie dekady ustroju demokratycznego i wolnego rynku w III RP zostały stworzone mechanizmy, które w lepszy sposób zaspokajałyby potrzeby mieszkaniowe Polaków? Czy współcześnie, gdy zamożność społeczeństwa jest większa, a technologie w budownictwie nieporównywalnie nowocześniejsze, czy zostały stworzone ramy organizacyjno-prawne sprzyjające mieszkalnictwu, i tym samym czy rysują się perspektywy rozwiązania problemów mieszkaniowych Polaków? Te pytania pokazują, jak trudnym do rozwiązania problemem jest mieszkalnictwo w Polsce, bez względu na ustrój polityczny i społeczno-gospodarczy.

Zakończenie – znaczenie książki w historiografii, dla czytelnika, dla życia społeczno-gospodarczego w III RP

Książka D. Jarosza jest interesującym i nowatorskim studium z zakresu historii społecznej i w jakimś zakresie historii gospodarczej, a także historii obyczaju. Napisana wartko, przystępnym językiem, plastycznie oddziałuje na wyobraźnię, i tym samym w zajmujący sposób pokazuje zasadnicze problemy życiowe dwóch pokoleń Polaków. Opisane tu procesy historyczne dotyczą bez mała każdej polskiej rodziny. Książkę można śmiało polecić jako lekturę akademicką na zajęciach, ale jest ona także do czytania w takim powszechnym obiegu. Można tylko żałować, że współcześnie książka historyczna nie cieszy się taką popularnością, jak w okresie PRL. (Renesans książki historycznej i samej historii jako dyscypliny naukowej – to jeden z pozytywnych aspektów okresu PRL-owskiego.) Można mieć nadzieję, że poszukiwanie ciekawej problematyki badawczej, nowatorskie rozwiązania warsztatowe, jak chociażby sposób narracji, dadzą podstawę do szerszej popularyzacji historiografii.

Ta książka ma też wymiar praktyczny. Nowe opracowania dotyczące spółdzielczości z okresu PRL dają podstawę do zdiagnozowania kondycji tych spółdzielni, które przez dwie dekady III RP przeszły w niewielkim zakresie przeobrażenia zmierzające do zasad tradycyjnej spółdzielczości. Spółdzielnie mieszkaniowe tkwią jeszcze poważnie w tym modelu wykreowanym do 1989 r., a symbolem jest tu ciągle obowiązująca stara ustawa spółdzielcza z 1982 r., uchwalona w interesie urzędniczego lobby spółdzielczego, a nie spółdzielców. Reformy wymagają spółdzielnie jako podmioty gospodarcze, ale też jako organizacje społeczne. W tej warstwie społecznej podstawą przemian są spółdzielcy. To studium daje wiele wiedzy na temat jakie mechanizmy ukształtowały postawy, mentalność członków spółdzielni. Można więc przypuszczać, że książka przyczyni się do naprawy spółdzielczości i popularyzacji tej problematyki.

Anna Szustek
(Warszawa)

Rafał Kubicki, *Młynarstwo w państwie zakonu krzyżackiego w Prusach w XIII–XV wieku (do 1454 r.)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2012, ss. 609, mapy 9, tabele 38, wykresy 15, CD 1.

Dzieje zakonu krzyżackiego w Prusach mają swoją obszerną literaturę. Jej ogląd wydawałby się wskazywać na fakt wszechstronnego podejścia nauki do dziejów tej formacji zakonnej i omówienia jej działalności w Prusach (do 1454 r.) zarówno w aspekcie dziejów politycznych, administracji i organi-